

20 wywiadów
na
20-lecie PKA

20
PKA



Autonomia uczelni szansą na ich rozwój?

Wywiad
z prof. dr hab. Ewą Chmielecką
Promotorem i Ekspertem Bolońskim,
członkinią Polskiej Komisji Akredytacyjnej
w latach 2012-2015

Jak w ciągu 20 lat zmieniło się szkolnictwo wyższe w Polsce? Jakie zmiany były, zdaniem Pani Profesor, kluczowe?

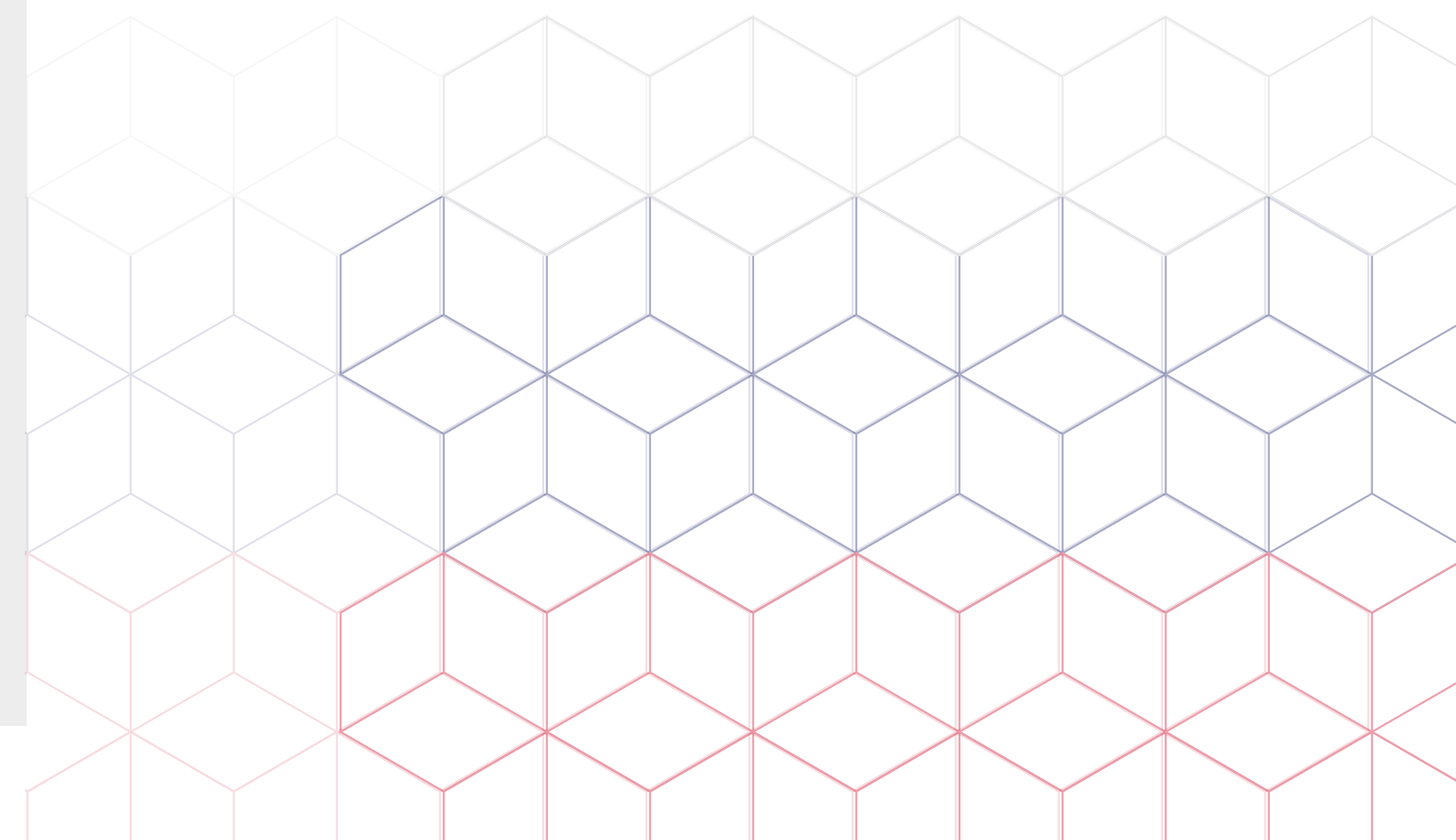
Powiem szczerze, że to pytanie jest dla mnie w pewnym sensie nietrafne – z tego powodu, że największe zmiany zaszły wcześniej. Polska Komisja Akredytacyjna pojawiła się stosunkowo późno i zastała taką sytuację w szkolnictwie wyższym, która wymagała już interwencji. Zatem jeśli miałabym mówić o zmianach w ostatnich 20 latach, musiałabym pominąć to, co było ich największym katalizatorem, mianowicie: umasowienie kształcenia wyższego w Polsce lat 90., czyli ogromny i nieprzewidywalny wzrost liczby studiujących i liczby uczelni – ze wszystkimi tego konsekwencjami, w tym z zagrożeniami dla jakości kształcenia. To było jednym z powodów powołania do życia Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Odwołanie do 20 lat dlatego wydaje mi się nie do końca trafne, że już ustawa z 1990 roku pozwoliła na dokonanie wielkich zmian w systemie. Proszę mi wierzyć, że na którejkolwiek konferencji międzynarodowej mówiłam o tym, jaki mamy skok ilościowy, jeśli chodzi o liczbę studiujących i uczelni, to przez salę przetaczał się jęk zachwytu i zazdrości, ponieważ inne kraje wówczas borykały się raczej z tym, jak ściągnąć młodzież na uczelnie. A u nas zdarzył się cud edukacyjny, który trwa. To pokazuje, że szkolnictwo wyższe bardzo się zmieniło już w latach 90. I nie ma co ukrywać, że umasowienie i komercjalizacja edukacji wyższej pociągnęły za sobą bardzo poważne zagrożenia dla jakości kształcenia i już w latach 90. zaczęły się próby rozwiązania tego problemu. Ale oprócz umasowienia były i inne ważne czynniki, moim zdaniem bardzo korzystnie dla rozwoju systemu szkolnictwa wyższego – mam na

myśli proces boloński, który też zaczął się trochę wcześniej niż 20 lat temu. To, że polskie szkolnictwo wyższe przyjęło idee procesu bolońskiego i wpisało się w formalizmy, które on ze sobą niósł, było bardzo korzystne, umożliwiło bowiem lepszą integrację z Europejskim Obszarem Szkolnictwa Wyższego. Także inne regulacje Unii Europejskiej, już z początku XXI wieku, były silnym katalizatorem zmian, że wspomnę chociażby ramy kwalifikacji (nie te dla szkolnictwa wyższego z procesu bolońskiego, ale Europejską Ramę Kwalifikacji) czy powstanie European Standards and Guidelines for Quality Assurance (ESG).



Natomiast jeśli chodzi o to, co się zdarzyło ważnego w Polsce i co moim zdaniem bardzo zmieniło szkolnictwo wyższe, to ruch samorządowy rektorów – powstanie konferencji rektorów, z KRASP na czele, których przedtem nie było, a które od 2005 roku stały się niezwykle silnym katalizatorem zmian, w moim rozumieniu pozytywnych. Stały się one rzeczywistym ciałem buforowym pomiędzy ministerstwem a środowiskiem akademickim. W środowisku rektorskim powstawały projekty nowych ustaw, rodziły się nowe idee dotyczące rozwoju uczelni, więc był to niezwykle ważny czynnik prorozwojowy.

I wreszcie ostatnim z takich fundamentalnych katalizatorów zmian było rozwijanie związków z otoczeniem społecznym, w szczególności z rynkiem pracy, a następnie refleksja nad tym, jak uczelnie powinny wykorzystywać swą autonomię, żeby nie poddawać się bezrefleksyjnie dyktatowi rynku pracy, tylko być od tego rynku pracy i od tego otoczenia nieco mądrzejszą i wytyczać im – w pewnym zakresie oczywiście – perspektywy rozwoju i działania. Uczelnie jednak powinny rozpoznawać współczesne wyzwania i odpowiadać na nie, powinny być odpowiedzialne i zaangażowane. Hasło *responsibility and responsiveness* – to jest ostatnie hasło procesu bolońskiego i Unii Europejskiej kierowane do szkół wyższych i jest ono coraz popularniejsze i w Polsce, wbrew prostemu przekonaniu, że mamy wypełniać polecenia rynku pracy i przygotowywać dlań kadry zgodnie z jego doraźnymi oczekiwaniami. A przecież nie wiemy, jakie potrzeby rynku pracy będą za pięć, dziesięć czy piętnaście lat, ponieważ wyzwania współczesności są obecnie nieprzewidywalne. I to jest następna rzecz, która zmienia dziś szkolnictwo wyższe, które musi przygotować społeczeństwo do tej nieprzewidywalności i innych wyzwań, bo taka jest jego rola i misja, bo to jest jego odpowiedzialność.



Pani Profesor, odniosę się do procesu bolońskiego, który wzbudza różne emocje i jest tematem wielu debat w środowisku akademickim: czy w 2022 roku możemy wskazać kluczowe zalety i wady przystąpienia Polski do procesu bolońskiego i wdrożenia jednej z największych reform szkolnictwa wyższego w Unii Europejskiej?

Jako wieloletni ekspert boloński, jako przewodnicząca Grupy Roboczej ds. Krajowych Ram Kwalifikacji dla Szkolnictwa Wyższego i członek Zespołu Bolońskiego, działającego przy KRASP, uczestniczyłam we wdrażaniu tego systemu od samego początku i widzę głównie jego zalety. Ja wiem, że w środowisku akademickim był i jest opór przed zmianami wynikającymi z procesu bolońskiego, co m.in. wynika z tego, że nas do pewnych rzeczy „przymuszono”. I w środowisku akademickim były obawy – moim zdaniem nieuzasadnione – że nastąpi jakieś ujednocianie, że Unia wymusi jeden model studiów czy że zestandaryzuje programy studiów. Myślę jednak, że ten opór już się zmniejsza, ponieważ pomimo braku głębszego zrozumienia celu procesu bolońskiego i przy braku chęci zaangażowania się w reformy, które niesie, to – zobowiązani przez unijne przepisy – jednak je wprowadziliśmy. Być może można było wprowadzić je lepiej i z lepszym zrozumieniem. Ja, ku mojemu zdumieniu, ciągle stwierdzam, że nauczyciele akademicy nadal nie rozumieją, po co są punkty ECTS, i uważają je za jakiś niemądry biurokratyczny wymysł, i przepisują te cyferki, często bez refleksji, w jakim celu to czynią. Nie widząc, że dostali do ręki niesłychanie sprawne narzędzie formułowania programu studiów i zajęć, pozwalające na elastyczność i indywidualizację kształcenia z zachowaniem porównywalności efektów, podejmują czasami dziwaczne decyzje, np. nakazują przypisywanie punktów ECTS do każdego efektu

uczenia się w ramach zajęć, czego nikt od nas nie wymaga.



Nie widzę zbyt wielu wad procesu bolońskiego, widzę o wiele więcej zalet.

Chyba że przez wadę rozumiemy to, że autonomia uczelni wiąże się tu z odpowiedzialnością za to, jak się kształci. To może być dokuczliwe, zwłaszcza jeśli ktoś nie lubi zmian.



Trzeba sobie powiedzieć, że to są zmiany głębokie i że ta refleksja, która się przetoczyła przez polskie uczelnie, na temat tego, co to jest efekt uczenia się i jak formować program studiów, biorąc pod uwagę nie to, czego my jesteśmy w stanie nauczać (my – nauczyciele), ale to, kim ma być nasz absolwent, była fundamentalna.

Ona często naruszała interesy kadry nauczającej, wymagając niechętnie przyjmowanych zmian, ale po latach widzę, że to nam się bardzo przydało. Słowem: wadę we wdrożeniu procesu zauważam jedną – nie zdołaliśmy pokonać oporu przed czymś, czego się nie rozumie i nie chce zrozumieć. To wada kampanii wdrażającej rozwiązania procesu bolońskiego w Polsce – jako wieloletnia szefowa zespołu promotorów bolońskich czuję się temu winna.

Przejdźmy zatem do wywołanej już autonomii uczelni. Czym ona jest? Jak powinna wyglądać w przyszłości? Czy zdaniem Pani Profesor należałoby ją zwiększyć?

Moja odpowiedź na ostatnie pytanie brzmi: zdecydowanie tak. Ale ta odpowiedź jest o wiele bardziej skomplikowana.



Jeżeli mówimy o autonomii uczelni, to zwykle myślimy o tzw. autonomii instytucjonalnej, czyli o możliwości decydowania o własnej strukturze organizacyjnej, o programach studiów itd. Taka autonomia instytucjonalna uczelni zabezpiecza swobody akademickie i powinna być gwarantowana przez prawo.

I w tej chwili ona jest w jakiejś mierze gwarantowana, ale moim zdaniem w wielu przypadkach ingerencja przepisów prawa na przykład w sposób organizacji uczelni jest zbyt daleko idąca. Było wiele takich sytuacji, kiedy uczelnia chciała przeprowadzić ważne i dobre zmiany i okazywało się to niemożliwe. Może posłużę się przykładem. SGH (wtedy jeszcze Szkoła Główna Planowania i Statystyki) przeprowadziła na początku lat 90. niesłychanie głęboką reformę studiów, spowodowaną okolicznością oczywistą: należało niemalże z dnia na dzień kompletnie zmienić program nauczania ekonomicznego, zastępując treści odnoszące się do gospodarki centralnie sterowanej treściami dotyczącymi gospodarki rynkowej.

Pojawiło się pytanie, jak to zrobić. Aby móc te zmiany przeprowadzić, uczelnia – starając się nie łamać prawa, tylko jakoś je w dobrej wierze ominąć – zlikwidowała strukturę wydziałową, co spowodowało, że rady wydziałów przestały sprawować pieczę nad programami kształcenia, a zadanie to przeszło na uczelnię jako całość i pozwoliło formułować nowe programy kształcenia. Dzięki tej zmianie studenci uczyli się na uczelni, bez konieczności wybierania kierunku studiów, a na zakończenie kształcenia był wydawany tzw. dyplom wynikowy. Podzielono studia na tzw. studium podstawowe, bardzo zbliżone charakterem do obecnego licencjatu, oraz na studia dyplomowe i dano studentom swobodę wyboru ścieżki kształcenia z katalogu oferty dydaktycznej, który został opracowany na potrzeby jednej uczelni po raz pierwszy w Polsce. Oczywiście, żeby dostać dyplom, należało wypełnić minima programowe określone w zasadach studiów. I to funkcjonowało doskonale, o reformie naszej uczelni pisano prace doktorskie na całym świecie. To był okres największego rozkwitu Szkoły, która bez lustracji, oceny, kontroli i tym podobnych zbiegów w ciągu dwóch, trzech lat zmieniła kompletnie profil nauczania na taki, jaki trzeba. Niestety, później pojawiła się ustawa z 2005 roku i zlikwidowała to, że można było nie deklorować, na jakim kierunku się studiuje, czyli wróciła nam struktura kierunkowa związana z administracyjnym podziałem uczelni. To była dla nas strata.

Takich przypadków mieliśmy zresztą w Polsce niemało. I pojawiają się pytania: Czy da się to zmienić i czy należy to uczynić? Czy można pozostawić decyzje o strukturze uczelni, o oferowanych przez nią programach całkowicie w jej rękach? Pytam, choć zdaję sobie sprawę, że zdjęcie wszystkich ograniczeń

dotyczących struktury uczelni prawdopodobnie nie bardzo jest możliwe, a na pewno nie jest łatwe. Mamy bowiem silną tradycję posługiwania się prawem do układania uczelniom życia. I wszystko wskazuje na to, że chcemy tego my – środowisko akademickie. My chcemy tego kategorycznego określenia prawem, co jest słuszne, a co nie. Rodzi się pytanie, czy uczelnie w Polsce są gotowe do tego, żeby dostać jeszcze większą sprawczość, decyzyjność dotyczącą struktury organizacyjnej uczelni i innych aspektów jej działania. Uczelnie już i tak sporo dostały. Na przykład zniesienie centralnej listy kierunków studiów i wprowadzenie ram kwalifikacji otworzyło drogę do realizacji własnych pomysłów.

Niestety, jednym z czynników ograniczających możliwość pełnej autonomii jest, w mojej opinii, działalność PKA. To, że PKA „przyjedzie i sprawdzi”, czy uczelnia działa zgodnie z przepisami prawa, jest jednym z większych hamulców rozwoju rozmaitych inicjatyw. Z mojego bogatego doświadczenia jako członka PKA wynika, że Komisja jest takim straszakiem, a jej aktywność skłania władze uczelni do ostrożności we wdrażaniu różnych inicjatyw, by nie okazało się później, że coś jest niezgodne z jej kryteriami. Innym czynnikiem, który niestety nie sprzyja całkowitej autonomii uczelni, jest kiepski stan etosu akademickiego. Pamiętam przypadek, kiedy jeden z czołowych polskich badaczy na dużym zgromadzeniu (kilkaset osób na sali), mówiąc o problemach szkolnictwa wyższego, zauważył, że najpoważniejszym problemem tego środowiska jest upadek etosu akademickiego, i został wybuczany. Choć mówi się o tym niechętnie, to jednak prawdą jest, że ten etos nam się rozjechał i – proszę wybaczyć – duża w tym zasługa PKA. Między innymi dlatego, że zaczęliśmy myśleć w kategoriach: jestem w zgodzie

z przepisami, ze standardami, z wymaganiami PKA – to znaczy, że jestem w porządku. A refleksji nad tym, czym są wartości akademickie, na czym ma polegać odpowiedzialność, zaangażowanie i autonomia uczelni, jak się rozliczać przed samym sobą i przed przyszłością, przed naszymi interesariuszami, jest mniej, ponieważ rozliczamy się przede wszystkim przed PKA. To bardzo skomplikowana sytuacja.



Nie ma jednak innej drogi do poprawy stanu etosu akademickiego jak tylko zwiększanie autonomii uczelni. Autonomii, która wymaga wzięcia na swoje barki odpowiedzialności za to, co się dzieje. Mam nadzieję, że środowisko akademickie jest dostatecznie mądre, żeby takie wyzwanie podjąć.

Póki autonomia jest ograniczana, część tej odpowiedzialności spada jednak na przepisy, a nie na nas – na mnie – samodzielnego, autonomicznego nauczyciela akademickiego, który powinien kierować się etosem przede wszystkim. Podsumowując, mogę powiedzieć, że jestem za zwiększaniem autonomii uczelni. Jeżeli ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce ma 200 stron, a także jest wzbogacona o opasłe komentarze, to uważam, że należałoby ją uprościć i oddać trochę więcej pola uczelniom.

Korzystając z doświadczenia Pani Profesor jako wieloletniego pracownika uczelni, pełnomocnika rektora SGH ds. uczelnianego systemu zarządzania jakością, ale także członka

Polskiej Komisji Akredytacyjnej, zapytam, w jaki sposób zdaniem Pani Profesor można by zbalansować działania wewnętrznego i zewnętrznego systemu zapewniania jakości, tak aby oba systemy jak najefektywniej ze sobą współpracowały? W ciągu 20 lat działalności PKA diametralnie zmieniono podejście do dydaktyki na uczelniach. Jak zatem zmieniała się rola PKA w systemie szkolnictwa wyższego w Polsce?

To jest bardzo trudne pytanie. Pozwolę sobie ponownie zacząć od historii. Proszę pamiętać, że PKA pojawiła się stosunkowo późno, jeżeli mowa o mechanizmach i instytucjach zewnętrznego zapewniania jakości, ponieważ pierwsza instytucja akredytacyjna w Polsce (Stowarzyszenie Edukacji Menedżerskiej Forum), utworzona dla szkół biznesu, powstała w 1993 roku wskutek przerażenia szkół ekonomicznych i biznesowych tym, co się dzieje na rynku edukacyjnym w tym obszarze. Podjęto próbę utworzenia organizacji doradczej i oceniającej. Następnie powstała komisja akredytacyjna dla uczelni medycznych, również z powodów oczywistych: tu chodziło o możliwość kształcenia studentów zagranicznych w Polsce i wydawania dyplomów, które byłyby uznawane także poza Polską. Potem powstała Uniwersytecka Komisja Akredytacyjna (UKA) i kolejne środowiskowe komisje akredytacyjne. Akredytacje, które one oferowały, były dobrowolne i odpłatne; standardy były formułowane przez same uczelnie. To były w pełni samorządne instytucje, które czuły i widziały, co się złego dzieje w sprawach jakości kształcenia i w którym miejscu pojawiają się zagrożenia dla niej. One same formułowały – często bardzo wysokie – standardy działania, ale to, co było najważniejsze, to to, że akredytacje te nie niosły żadnych skutków administracyjnych. Na ich podstawie nie można było zamknąć żadnej uczelni; uczelnia pozostawała jedynie ze złą opinią, że na jej koncie są

jakiś niedociągnięcia czy nieprawidłowości. Dopiero po kilku latach zaczęła się dyskusja nad tym, jaki kształt powinna przybrać PKA. Prof. Don Westerheijden z Uniwersytetu w Twente, słynny badacz jakości kształcenia w szkolnictwie wyższym, w swoim artykule Ex Oriente lux (tłum. Światło przychodzi ze Wschodu) postawił tezę, że to, co zrobiły kraje Europy Środkowej, w tym Polska, zabiło ideę poprawy jakości jako inicjatywy samorządnej, oddolnej, opierającej się na trosce o jakość, położyły bowiem nacisk na instrumenty kontroli biurokratyzowanej z konsekwencjami administracyjnymi, nawet w postaci zamknięcia kierunku studiów, w efekcie czego ministerstwo właściwe do spraw szkolnictwa wyższego zostało w praktyce zwolnione ze sprawowania funkcji kontrolnych. I jeśli popatrzymy na historię tego, co się zdarzyło w Polsce, to po powstaniu PKA większość agencji środowiskowych jeszcze jakiś czas działała, a potem umarła śmiercią naturalną, bo która uczelnia będzie sobie robiła dodatkowy kłopot? Przetrwały nieliczne, np. ta dla uczelni technicznych, wydająca również certyfikaty międzynarodowe, na których uczelniom zależy, lub ta dla uczelni medycznych. Natomiast cała reszta zakończyła działalność, bo uczelnie nie miały już motywacji ani siły, żeby przechodzić dwie różne akredytacje.

Ja oczywiście rozumiem, dlaczego PKA przybrała taką „parakontrolną” postać. Patologie związane z jakością, jakie zaczęły się szerzyć na uczelniach pod koniec lat 90., były tak znaczne, że należało stworzyć radykalne narzędzie, które byłoby je w stanie administracyjnie wyeliminować. Ale niestety przez to uczelnie zatraciły spontaniczną troskę o jakość kształcenia, zaczęły się bowiem dostosowywać do standardów PKA w obawie przed wynikami wizytacji Komisji, która była nastawiona na wychwytywanie nieprawidłowości, była zaś mało inspirująca w pozytywnym sensie.

To wszystko sprawiło, że ta nasza troska o jakość nieco się wypaczyła. Obecnie nie widzę w Polsce żadnej instytucji, która zabiegałaby o to, żeby uczelnie rozwijały kompetencje kluczowe z punktu widzenia wyzwań przyszłości. Oczywiście są fundusze europejskie, jest Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji, która nimi dysponuje i wspiera rozmaite uczelniane projekty, ale w działalności instytucji akredytujących tego nie widać. Oznacza to, że zanikła taka pozytywna motywacja do rozwoju dobrej jakości kształcenia na rzecz funkcji kontrolnych, wyręczenia ministerstwa w jego zadaniach ustawowych. Oczywiście, ostateczną decyzję zawsze podejmuje ministerstwo, ale to PKA pełni na jego rzecz funkcję oceniającą i doradczą. Podczas ostatnich prac nad ustawą bardzo silny był głos urzędników ministerialnych, którzy te zagrożenia widzą i rozumieją, bo taka jest ich rola. Ja chętnie bym jednak zobaczyła, jak się uczelnie inspiruje, jak się je zachęca do pozytywnych zmian. To też się dzieje, ale moim zdaniem w niedostatecznym stopniu.

Jak Pani Profesor wspomina swój udział w pracach Polskiej Komisji Akredytacyjnej? Czy przyświecała Pani Profesor jakaś misja, gdy dołączała Pani do PKA?

W momencie obejmowania funkcji członka PKA miałam za sobą długie lata pracy w SEM Forum, byłam współtwórczynią pierwszych standardów oceny oraz Fundacji Promocji i Akredytacji Kierunków Ekonomicznych (dla uczelni państwowych), byłam także konsultantką UKA i uczelni technicznych oraz wielokrotnie opiniowałam European Standards and Guidelines (ESG).

Wchodziłam więc do PKA z dużym zapleczem i z takim pomysłem, że może uda zastąpić tę funkcję bądź co bądź kontrolną, która wówczas dominowała, funkcją bardziej stymulującą, inspirującą, na wzór światowych agencji zapewniania jakości. W tym czasie PKA została wpisana do rejestru EQAR, więc myślałam także, że te doświadczenia międzynarodowe skłonią nas do przyjęcia standardów mniej administracyjnych, mniej egzekwowalnych, za to bardziej inspirujących do rozwoju jakości, ale nie bardzo nam się to udało. Ja od zawsze byłam rzecznikiem rozwiązania, by przekazać funkcje administracyjne ministerstwu – bo jest do ich sprawowania zobowiązane, a z PKA stworzyć instytucję bardziej środowiskową niż ministerialną. Przypomnę zresztą, że PKA, jako agencja pracująca na rzecz rządu, nie przez wszystkich była postrzegana jako autonomiczna, ale mam nadzieję, że już udowodniła, że taka jest. Ale wtedy, kiedy ja wstępowałam do PKA, parokrotnie trzeba było hamować ministerialne zakusy, świadczące o tym, że ministerstwo uważa PKA za swoje ramię, a nie za opiniodawcę. Samą pracę w Komisji, tj. współpracę z uczelniami – bo tak tę aktywność postrzegałam, wspominam zaś jak najmilej. Mam szczerą nadzieję, że również uczelnie zapamiętały mnie dobrze. Ale jednocześnie pamiętam sprawy bardzo trudne. Z racji wykształcenia pracowałam w zespole nauk humanistycznych. Jednej z uczelni, o której skądinąd wiedziałam, że prowadzi najlepsze studia filozoficzne w Polsce, nie mogliśmy dać oceny pozytywnej ze względu na braki w dokumentach. I jako zespół oceniający sugerowaliśmy władzom wydziału szybkie uzupełnienie tych braków, wskazując, że inaczej będziemy musieli dać ocenę warunkową. A przecież wiedzieliśmy, że ze względu na meritum kształcenia zasługują na ocenę pozytywną. Dziekan tego wydziału zaparł się jednak i stwierdził, że tego nie zrobi, bo wymagania są niemądre. Ostatecznie uzupełnień dokonali w procedurze odwoławczej, ale pamiętam, że wtedy czułam się jak między młotem a kowadłem:

byliśmy przecież zobowiązani, by egzekwować te przepisy, a z drugiej strony wiedzieliśmy, że nauczanie jest tam na najwyższym poziomie i na pewno nie ucierpiało z powodu braku jakichś dokumentów. I myślę, że to dylemat, przed którym stoi każdy zespół oceniający PKA. Dlatego tak ważne jest, by jednak zmierzać w kierunku oceny meritum sprawy, chociaż jesteśmy zobowiązani do oceny zgodnej z zapisami ustawy, rozporządzeń i kryteriami.

W pewnym momencie zrezygnowano ze standardów kształcenia. Obecnie dotyczą one tylko wybranych kierunków. Jak Pani Profesor ocenia ten ruch?

Oceniam to bardzo pozytywnie. Byłam promotorem tego działania i przez 10 lat reprezentowałam Polskę w Grupie Doradczej ds. Europejskiej Ramy Kwalifikacji przy Komisji Europejskiej.



Przecież standardy określają treści, więc zawsze oznaczają jakieś ujednoczenie kształcenia, tymczasem cały proces boloński i wszystkie wynikające z niego zmiany w szkolnictwie wyższym w Europie i na świecie zmierzają do tego, ażeby zapewnić możliwie wielką różnorodność i treści, i form, i instytucji kształcenia. Dlatego że skala potrzeb i różnorodność potrzeb społecznych jest tak wielka, że utrzymywanie jednego treściowego standardu, np. dla ekonomii, byłoby po prostu zbrodnią.

Mamy szkoły biznesu, które kształcą sekretarki dla gmin w małych regionach przygranicznych i mamy wielkie uczelnie, które kształcą z teorii ekonomii, a to wszystko może mieć tę samą nazwę: nauki ekonomiczne. Uważam więc zniesienie standardów za bardzo cenną rzecz, która realnie zwiększa autonomię uczelni w sferze programowej, dzięki czemu uczelnia wreszcie może swobodnie formować program studiów, dostosowując go na bieżąco do potrzeb, które w danym momencie dostrzega. O tym, jak silna jest potrzeba zmian w programach kształcenia, świadczy pewna anegdota. Jedna z uczelni technicznych otworzyła niedawno w obrębie nauk o informacji kierunek nadzwyczaj potrzebny i nowoczesny. Już w momencie jego uruchomienia autorzy programu studiów zdali sobie sprawę, że jego treści się częściowo zdezaktualizowały, a gdy studenci dojdą do etapu dyplomowania, to znaczna część będzie wymagała zmiany – tak szybki jest rozwój wiedzy i technologii w tej dziedzinie. I jak w tej sytuacji zastosować standardy kształcenia, których zmiana wymaga wielomiesięcznego, a niekiedy paroletniego namysłu? Uczelnia musi kształcić nie tylko takich ludzi, którzy się dostosowują, ale i takich, którzy potrafią zmieniać rzeczywistość – to jest nasza podstawowa misja. Zatem zniesienie wszelkich standardów, które zahaczają bądź to o treści, bądź to o efekty uczenia się, jest dobre. To, co mamy zawarte w deskryptorach ram kwalifikacji, to są bardzo ogólne stwierdzenia i można pod nie podłożyć naprawdę wiele treści, i to moim zdaniem absolutnie wystarcza.

Czy zdaniem Pani Profesor uczelnie w Polsce właściwie wykorzystują szansę, jaką daje im ich autonomia? Jak ta autonomia wygląda na tle innych uczelni w Europie?

Szansa sama w sobie jest pustym słowem. W tym miejscu można się zastanowić, czy uczelnie dobrze wykorzystują autonomię do sensownego i racjonalnego określania swojej misji, a następnie do jej realizacji. Na szczęście uczelnie mają swobodę w formułowaniu misji i określaniu swojego profilu, choć oczywiście obowiązują wskaźniki ilościowe, które trzeba wypełnić. Biorąc pod uwagę wiele kwestii, muszę powiedzieć, że uczelnie różnie wykorzystują swą autonomię. Jeżeli uwzględniamy wszystkie uczelnie w Polsce, to wśród nich mamy szkółki utworzone dla kadry, która nie chce robić nic innego, tylko od lat powtarzać te same treści, szkoły, które są miejscem zarabiania pieniędzy. Ale mamy też uczelnie (i nie ma znaczenia, czy one są akademickie, czy zawodowe), w których obserwuje się eksplozję nowych pomysłów, w których naprawdę dokonuje się rozwój, patrzy się w przyszłość: i uczelni, i społeczeństwa w ogóle, w których z sensem realizuje się programy. Wcześniej wspomniałam o kierunku na jednej z uczelni technicznych, ale pamiętam, jakie wrażenie zrobiła na mnie jedna ze szkół zawodowych, która wybudowała centrum rozwoju kompetencji społecznych – wykorzystując własną autonomię programową i właściwie rozumiejąc ramy kwalifikacji – i wstawiła całe moduły rozwoju kompetencji społecznych w każdy program prowadzonych studiów, w ramach którego to studenci mogli realizować swe „prospołeczne marzenia”. Uczelnia starała się zapewnić odpowiednie zaplecze materialne i finansowe, by studenci mogli je spełnić, i zaliczała im ten etap kształcenia jako część studiów. Najczęściej w korzystaniu z autonomii przeszkadzają

ograniczenia prawne; dobrze to obrazuje podany przeze mnie przykład SGH.



Według mnie uczelnie powinny samodzielnie decydować o swojej strukturze organizacyjnej. Być może kolejne nowelizacje ustawy już będą to gwarantowały. Dotyczy to też wyborów rektorskich; mam nadzieję, że będzie można wybierać rektorów inaczej.

Kolejny element to brak refleksji nad kompetencjami przyszłości i nad tym, czym powinna uczelnia być, jak powinna się otworzyć na przyszłość. Martwi mnie, że nie jest to zjawisko częste. Mamy uczelnie w tym przodujące i uczelnie, w których nie ma żadnej refleksji, żadnej szansy na rozwój, pośrodku zaś jest cała gama uczelni, które w rozmaity sposób się do tego odnoszą, ale daleko im do ideału. Zatem moje zdanie jest takie: szanse uczelnie mają, ale wykorzystują je rozmaicie.

Gdyby mogła Pani Profesor podjąć strategiczną decyzję dotyczącą rozwoju zewnętrznego systemu zapewniania jakości kształcenia w Polsce, to jaka byłaby to decyzja?

Funkcje administracyjno-kontrolne niech weźmie na siebie ministerstwo, bo od tego jest, a PKA niech będzie instytucją bardziej środowiskową, która faktycznie będzie oceniała jakość kształcenia, możliwie bez konsekwencji administracyjnych, niech będzie agencją inspirującą, być może też nagradzającą za pewne działania.

Wiem, że w tej chwili przyznawane są Certyfikaty Doskonałości Kształcenia, ale one nadal są za bardzo uzależnione od kryteriów oceny. Myślę, że gdyby było inaczej, uczelnie zaczęłyby się starać, chciałyby się rozwijać i ten swój rozwój pokazywać. Być może PKA mogłaby sama inicjować projakościowe projekty, które byłyby wdrażane na uczelniach. Chciałabym, by to „światło ze Wschodu” nastawiało do jakości pozytywnie.

Warszawa, 2022 r.

20 wywiadów
na
20-lecie PKA